

STANISŁAW BUCZEK syn Jana i Anny urodzony 8 XI 1925r  
w Głowienice powiat Krosno n/Wisłokiem. Zamieszkały wieś:  
Wesołówka, województwo Tarnopol. Deportowany z miejsca zamieszka-  
nia w dniu 10 II 1940r wspomina:

Rodzice mieli gospodarstwo rolne o powierzchni dwa i pół  
hektara ziemi ornej, oraz budynek mieszkalny i gospodarczy.

We wczesnych godzinach rannych wstałem i poszedłem do staj-  
ni dać koniom obrok, po czym wyszedłem. Zatrzymałem się na po-  
dwórku. Zobaczyłem koło szkoły "ciemną plamę" /była jeszcze sza-  
rówka/. W tym czasie z domu wyszedł tato. Razem patrzyliśmy w  
kierunku szkoły. Tato powiedział, że są to furmanki, widocznie  
przyjechali po kontyngent. Gdy rozjaśniło się, widać było wyraź-  
nie furmanki i wojsko.

Przed godziną ósmą, furmanki przed szkoły rozjechały się  
w cztery kierunki. Na nasze podwórko przyjechała jedna z nich.  
Do mieszkania wszedł oficer, oraz dwóch żołnierzy z karabinami  
i otwartymi bagnietami.

Pierwsze słowa oficera to: "ręce do góry"! Tato podniósł  
ręce do góry. My nie rozumieliśmy o co chodzi.  
Oficer ustawił nas wszystkich pod ścianą, twarzą do ściany.  
W tym czasie w mieszkaniu zrobili rewizję, pytali o broń. Broni  
w domu nie było.

Oficer wydał kolejne polecenie: "Gospodarzu, w ciągu dwu-  
dziestu minut wszyscy macie być na saniach"! Tato zapytał: "czy  
daleko mamy jechać"? Oficer odpowiedział: "na drugą wieś".

Zaczął ponaglać, aby ubierać się i wychodzić z mieszkania.  
Na te słowa oficera, mama zebrała nas dzieci, uklękła z nami  
przed świętym obrazem. Modliliśmy się głośno. Mama była osobą  
głęboko wierzącą, jak zresztą cała rodzina. Żołnierze w modlitwie  
nie przeszkadzali.

W naszej wiosce Wesołówka nie było kościoła. W szkole, w wydzielonej sali, mieliśmy święty obraz /tryptyk/ i w tej sali, odbywały się niedzielne nabożeństwa. Mama opiekowała się obrazem. Kiedy wybuchła wojna, wzięła obraz do domu, aby nie zginął. Przed obrazem tym, modliliśmy się w chwili deportacji.

Oficer, teraz już łagodnie powiedział ojcu, aby zabierał rzeczy i wynosił na sanie. Tato wyniósł: worek mąki, cukru, dwanaście bochenków chleba, pierzynę, poduszki, ubranie, głowę od maszyny do szycia, rower.

Mama wzięła książeczkę do nabożeństwa i obraz: Serce Pana Jezusa.

Przed wyjściem z mieszkania, tato zapytał oficera: "czy zamknąć mieszkanie"? Na to oficer: "nie trzeba".

Wyszliśmy z naszego domu:

Jan	Buczek	ur	1900	ojciec		
Anna	"	ur	1893	matka		
Stanisław	"	ur	1925	syn	Jana i Anny	autor wspomnień
Kazimierz	"	ur	1927	syn	Jana i Anny	
Krystyna	"	ur	1930	córka	"	"
Józef	"	ur	1934	syn	"	"

Mama z dziećmi wsiadła do sań. Tato i ja szliśmy obok. Woźnicą, był miejscowy Ukrainiec. Za nami biegł nasz pies. Zawieźli nas do szkoły, gdzie zwozili ludzi. Tego dnia z Wesołówki wywieźli nie tylko Polaków, ale również kilka rodzin - Ukraińców.

Wkrótce spod szkoły wyjechał długi ciąg sań z ludźmi. Za nami biegły psy z wioski.

Gdy opuszczaliśmy Wesołówkę, widziałem jak z sąsiedniej wsi, szli Ukraińcy i jechali saniami nie drogą, a przez pola w kierunku naszej wioski.

Do stacji Proszowa jechaliśmy dwanaście kilometrów. Wprowadzili nas do wagonu towarowego. Nie umię określić ile

mogło być dzieci i ludzi dorosłych. Pamiętam, że w wagonie było ciasno.

Na stacji nie staliśmy długo. Pociąg odjechał, to znów cofał się, dlaczego - trudno powiedzieć. Myślę, że kompletowali skład wagonów. Usłyszeliśmy w nocy głośny ryk lokomotywy. Dorosli poznali, że to lokomotywa radziecka. Po kilku minutach otwarto wagony i padł rozkaz: "przesiadać się".

W wagonach były prycze piętrowe, dziura w kącie wagonu w podłodze, a pośrodku piecyk. Okna zabite deskami ukośnie. W wagonie mieliśmy ciągle półmrok. Na zewnątrz wagonu nic nie można było zobaczyć. Zrozumieliśmy gdzie jedziemy. Wybuchł płacz trudny do opisanie.

Raz dziennie strażnik otwierał wagon. Wywoływali jedną osobę która w obstawie strażnika przynosiła wodnistą zupę, chleb, wodę do picia, oraz węgiel do palenia w piecyku. Zupę jedliśmy w swoich naczyniach jakie kto miał. W wagonie, było tak zimno, że w czasie snu, włosy przymarzły mi do ściany. W czasie podróży, gdy pociąg był w biegu, od podłogi oderwały się ściany wagonu. Wybuchła panika, obawialiśmy się, że zlecimy wszyscy. Tak jechaliśmy dwa lub trzy dni, zgłaszaliśmy na stacji na postoju pociągu, ale nikt nie reagował. Nie pamiętam nazwy stacji, na której wreszcie wymieniono wagon.

W pierwszej połowie marca 1940r przyjechaliśmy do Krasnojarska. Umieścili nas w hali stoczni rzecznej, na barce o dużych rozmiarach. Barka była w trakcie budowy. Spaliśmy na brudnej podłodze, w ogromnej ciasnocie.

W dniu 19 III 1940r załadowano nas na sanie. Rodzin nie rozdzielali. Jechaliśmy po zamarznętej rzece Jenisej. Na noc zatrzymywaliśmy się w wyznaczonych wioskach-zajazdach. Tam otrzymaliśmy skromny posiłek, porcje małe /nie pamiętam co jedliśmy/. Spaliśmy na podłodze. Po ośmiu dniach przyjechaliśmy do miasta Jenisiejsk. Zamieszkaliśmy w baraku, który należał do tartaku.

Barak zbudowany z desek, Przestrzeń między deskami wypełniona trocinami. Na swojej długości miał dwa wejścia. Korytarz wzdłuż baraku, a po obu stronach izby. W izbie było jedno okienko

piec, prycze i pluskwy. Zamieszkaliśmy w takiej izbie.

Oficer NKWD Sokołowski, sprawował pieczę nad nami. Uświadomił nas jak dobrze jest w ZSRR, o sprawiedliwości społecznej, o tym, że trzeba pracować. Następnie wypytywał wszystkich o życiorys.

Po trzech dniach przydzielili nam pracę. Tato pracował w tartaku. Przetaczał kloce drzewa do maszyn, które je piłowały na deski. Zarabiał dwieście czterdzieści rubli, oraz osiemdziesiąt dekagramów chleba na kartki. Kartki były datowane, należało chleb wykupić w oznaczonym dniu. Szklanka mąki na bazarze kosztowała dwanaście rubli. Jeden litr mleka czterdzieści rubli.

W tartaku, pracowaliśmy z ojcem od 29 III 1940r. Zarabiałem mniej niż tato, ile - nie pamiętam. Wozikiem drzewo z nad rzeki Jenisej do tartaku. Kloce ciągnięte były przez konie. Na koniu siedziałem wierzchem. Pierwsze dni w pracy sprawiały mi trudności. Nie rozumiałem co do mnie mówią, krzyczeli na mnie, wyzywali od "polskich panów". W dniu 1 X 1941r samowolnie opuściłem pracę. Poszedłem do kołchozu odległego o dwadzieścia kilometrów. Pracowałem przy omłotach. Wieczorem naprawiałem walonki "pimy". W ten sposób miałem dodatkowe źródło zarobku. Mieszkałem u jednego z kołchoźników. Po skończonych omłotach, udałem się do kolejnej wioski, odległej o sześćdziesiąt kilometrów. Pracę otrzymałem również w kołchozie. Do rodziców wróciłem 8 XII 1941r. Przyniosłem im chleba i małą ilość mąki.

W mieszkaniu rodziców zastałem Kirianowa. Kupował od mamy ubranie, płacił chlebem. Rosjanin Kirianow, po drobnych trudnościach wyszukał dla mnie pracę, w Miejskim Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej. Mimo, że miałem zaświadczenie o pracy z ostatniego kołchozu, znaleźć pracę nie było łatwo. Zatrudnili mnie jako ~~kaminarz~~ kominarza. Moim kierownikiem był Silawko. Dodatkową pracą było czyszczenie dołów kloacznych. Oprócz pensji zarabiałem pół litra mleka dziennie. Tak pracowałem od połowy grudnia 1941r do wiosny 1942r.

Mama nie pracowała, opiekowała się młodszym rodzeństwem.

Otrzymywała tylko pięćdziesiąt dekagramów chleba. Początkowo sprzedawała rzeczy, później szyła suknie dla Rosjank. Maszynę miała z domu. W ten sposób zarabiała na życie.

Przy tartaku mieszkaliśmy krótko. Pod jesień 1940r zamieszkaliśmy w Jenisiejsku - osiedle Kujbyszewa, w budynku jednopiętrowym, z drzewa ciosanego. Budynek miał cztery klatki schodowe. W jednym domu mieszkało trzydzieści dwie rodziny. Sami Polacy. Każda rodzina miała jedną izbę.

W roku 1942 lub 1943 zamieszkaliśmy przy ul. Fiefiałowa 48 w prywatnym domu. Nie pamiętam czy mama za mieszkanie płaciła.

Pod koniec stycznia 1942r ojciec się przeziębził. Mimo gorączki chodził do pracy. Tak było przez cały luty, aż któregoś dnia, wrócił wcześniej z pracy w półprzytomny. Miał wysoką gorączkę. Następnego dnia przyszedł lekarz z zakładu pracy. Na wstępie powiedział: "nie jest tak źle, leżysz pod pierzyną". Mamie poradził: "Sprzedaj pierzynę, kup kurę, ugotuj rosółu. Mąż zje i wyzdrowieje".

Po tej rozmowie zbadał ojca i dał skierowanie do szpitala. Z mamą zawieźliśmy tatę do szpitala saniami. Odległość około trzy kilometry.

W nocy mama miała sen, że tatę zranili w rękę. Rano dowiedzieliśmy się o jego śmierci. Mama i ja poszliśmy do szpitala. Kiedy ubieraliśmy tatę, zauważyłem na przegubie łokcia, miał ślad po ukłuciu.

Tatę pochowaliśmy w trumnie, na cmentarzu w Jenisiejsku. Trumnę zrobił Polak pan Magusiak.

Na przestrzeni między miastem, a <sup>osiedlem</sup> Kujbyszewa, był stary cmentarz, ale nieczynny. Cerkiew i kamienie nagrobne zostały zniszczone, porozbijane. Mimo to, udało mi się odczytać na kamieniach kilka polskich nazwisk.

#### Wspomina Józef Buczek

Grabarz, narodowości cygańskiej mieszkał koło cmentarza. Jego dzieci na drodze cmentarnej bawiły się ludzkimi czaszkami.

### Wspomina Stanisław Buczek

Po śmierci ojca, brat Kazimierz podwija pracę. Pomógł nam w tym Polak inżynier Zbigniew Wasilewski. Zatrudnił brata w charakterze ucznia-elektryka.

Siostra Krystyna opiekowała się dwójką dzieci, u lekarza pediatry Kolestnikowa.

Miejskie Przedsiębiorstwo Komunalne, miało ziemię uprawną w odległości 12-tu kilometrów od naszego miejsca zamieszkania. Na wiosnę 1942r zostałem tam skierowany do pracy. Praca od wczesnych godzin rannych do zmroku. Przerwą z powodu upałów od godziny 10-tej do 14-tej. Przez czas prac polowych mieszkaliśmy w polu, w baraku. Raz w tygodniu przywozili nam prowiant. Chleb i koninę. Sami gotowaliśmy sobie zupę. Zbieraliśmy liście dzikiego czosnku, grzyby.

Brygadzystą był Piotr Remiński /potomek zesłańca po powstaniu styczniowym/.

Ziemię oraliśmy końmi. Pod skibami często znajdowaliśmy owies, zgromadzony przez myszy polne. Czasem w ciągu dnia udało się nazbierać pół wiadra owsa. Owies płukaliśmy i suszyliśmy na dachu baraku. Później, w prowizorycznej stępie ~~znie~~ zgniataliśmy ziarno. Z tego gotowaliśmy zupę.

Raz w tygodniu odwiedzałem mamę i rodzeństwo. Znosiłem im ten gnieciony owies.

Na wiosnę 1942r mama otrzymała małą działkę. Sadziliśmy na niej ziemniaki.

Jaki był głód świadczy to, że w promieniu trzech kilometrów wybierana była pokrzywa i lebioda. Mama, jeśli w domu nie miała już zupełnie nic do jedzenia, to przed wyjściem do pracy, przygotowała zawsze chociaż gorącej wody. Ta jej czułość dodawała nam siłę przetrwania.

### Wspomina Józef Buczek

Mama zdecydowała się oddać mnie do polskiego sierocińca w Kazaczyńsku. Załatwiła formalności. Z grupą polskich dzieci

byłem już na statku. W ostatniej chwili, kiedy statek miał odpłynąć, mama zabrała mnie, a ja się z tego ucieszyłem.

#### Wspomina Stanisław Buczek

W okresie zimy pracowałem w transporcie konnym. Z kołchozów woziłem do miasta Jenisiejska obowiązkowe dostawy jak: zboże, miód, rybę, z różnych odległości. Najdalsza trasa do siedmiuset kilometrów.

Woziłem również wióra i trociny z tartaku, do elektrowni, która była w cerkwi, w centrum Jenisiejska.

Prosiłem kierownika transportu, aby zlecił mi wozić mąkę, z młyna do piekarni. Odległość tylko dwadzieścia kilometrów. Wozić mąkę, to znaczyło być wyróżnionym. Gdy woziłem mąkę, miałem z sobą przygotowane woreczki. W czasie drogi rozprułem worek, nakładłem mąki do woreczka. Nie było to łatwe. Mąka na mrozie bardzo zimna. Palce momentalnie sztywniały. Worek z mąką trzeba później zaszyć, schować pod spód. Odbywało się to w czasie nocy. Woreczek z mąką wyrzucałem w umówionym miejscu. Brat Józef woreczek z mąką zabierał do domu.

W okresie zimy, miejscowej ludności woziłem siano. Często wiali przeważnie obiadem. Czasem można się było najeść do syta. Mama z panem Wasilewskim pracowała w Zarządzie Związku Patriotów Polskich w Jenisiejsku. Przez kilka miesięcy pracowała w kuchni. Gotowała zupę z produktów otrzymanych z darów amerykańskich. Ze stołówek korzystali tylko Polacy.

Na wiosnę 1944r z bratem Kazimierzem i Finem popłynęliśmy w górę rzeki Jenisiej. Nazbieraliśmy kłoców drzewa, które wyrzuciła woda. Drzewo zbiliśmy w tratwę i przyholowaliśmy w okolice osiedla. Wyciągnęliśmy je na brzeg. Końmi przywieźliśmy na podwórko. Radość z drzewa była tak wielka, że nie liczyło się nasze zmęczenie.

W dniu 23 VIII 1944r przesiedlają nas. Na statek "Majakowski" wsiadło około dwa tysiące Polaków. Przyplłynęliśmy do Krasnojarska. Koczowaliśmy w porcie, pod gołym niebem przez kilka dni.

Spotkaliśmy tam grupę Ukraińców z wschodnich terenów Polski. Nawiązałem z nimi rozmowę. Oni jechali na zesłanie, na nasze miejsce.

W Krasnojarsku załadowali nas do wagonów towarowych, ale teraz wagony nie były zamknięte, nie było konwojenta. W czasie drogi dawali nam coś do jedzenia, ale dziś nie pamiętam co to było. Na postoju pociągu, ludność miejscowa wynosiła placki. Myśmy u nich te placki kupowali.

Gdy maszynista zatrzymał się na trasie, gdzie były pola uprawne, wysiadaliśmy z pociągu i z pól braliśmy kolby kukurydzy, ziemniaki. Tak z pociągu wyszedł pan Jasnocha i do wagonu nie wrócił. Co się z nim stało nie wiem. Natomiast Bronisław Wagner nie zdążył do naszego pociągu. Jechał innym transportem na dachu wagonu. Gdy po tygodniu, /na jakiejś stacji nazwy nie pamiętam/ przyszedł do naszego wagonu, był skrajnie wyczerpany.

Podróż trwała około miesiąca. Wysiedliśmy w miejscowości Łobowka, rejon Boko-Andracyt, obłast Woroszyłowgrad Ukr.SRR.

Zamieszkaliśmy u Rosjanki Leonowej. Mieliśmy jedną izbę dla siebie. Pracowaliśmy w sowchozie. Siostra pracowała w ogrodzie przy uprawie i zbiorze jarzyn. Nosiła na nosilkach obornik, w zimie obornik wywoziła na sankach.

Brat Kazimierz pracował na ciągniku. Pracę miał ciężką, ciągniki zniszczone, wymagały ciągłego remontu. Brat Józef pracował dorywczo. Pasł świnię w jarze, gdzie były żołądźce. Pilnował, by świnię nie rozchodziły się w pola. Ja pracowałem przy pracach polowych.

W dniu 9 V 1945r o godzinie 4-tej zbudził nas gong. Wszyscy zerwaliśmy się z posłania. Dyrektor sowchozu oznajmił nam, że zakończyła się wojna. Warunki życia i pracy nie uległy zmianie. Przez okres lata 1945r pracowałem jako stróż. Miałem karabin dziesięcioprowadkowy. Pilnowałem warzyw przed "żulikami".

Od jesieni 1945r byłem do dyspozycji Kobrykowa - dyrektora sowchozu. Na każde zawołanie, gdzie sobie życzył, wozikiem go furmanką, lub saniami. Kobrykow wyżywał się na pracownikach, wygrażał pistoletem. Mimo, że był przykry dla nas w pracy, ja z nim konfliktów nie miałem.



W Łobowce, mama spotkała kobietę. Po chustce jaką miała na głowie, poznała że jest z naszych stron. Nawiązała z nią rozmowę. Okazało się, że to Ukrainka. Powiedziała ona do mamy: "Całowała bym Polakom stopy, abym mogła wrócić w swoje rodzinne strony".

W lutym 1946r wyjechaliśmy do Polski. Wcześniej Polacy wzywani byli do MKGB. Mamę wypytywano, co będzie opowiadać jak wróci do Polski.

Z Łobowki wyjechaliśmy również w wagonach towarowych. W czasie podróży na większych stacjach dawali nam jakieś posiłki, ale nie pamiętam co jedliśmy w drodze powrotnej. Granicę przekroczyliśmy w Rawie Ruskiej. Przed granicą Rosjanie zrobili rewizję w wagonie. Szukali notatek, książek. Bratu Kazikowi zabrali spisane wspomnienia.

Na widok Polskich Żołnierzy nie mogliśmy wymówić słowa - wszyscy płakaliśmy.

Transport nasz został skierowany do Lublina. W Polskim Urzędzie Repatriacyjnym otrzymaliśmy zapomogę. Zdecydowaliśmy się pojechać do cioci do Krosna n/Wisłokiem. W Krośnie byliśmy 13 III 1946r

Pod koniec roku 1939r mama miała sen. Widziała pociąg towarowy z ludźmi. Nie było lokomotywy, a pociąg ciągnął Jezus i niósł krzyż. Wyglądał tak, jak na obrazie, gdy szedł na Golgotę. Na zesłaniu mówiła nam. Jechaliśmy takim pociągiem, jaki widziałem we śnie, ale nasz pociąg ciągnęła lokomotywa.

Za zgodność

*Buczek S.*  
Stanisław Buczek  
ul 22 lipca 68  
38-401 Krosno 3

*Buczek Józef*  
Józef Buczek  
Swierzowa 429  
38-475 Zręcin  
457

Krosno dnia, 6 VI 1991

*Czesława Tarnawska*  
Wspomnienia spisała

Czesława Tarnawska